

Hans Christian Andersen

Dziewica Lodów

1. Mały Rudi

Pojedźmy do Szwajcarii, rozejrzyjmy się po tym pięknym górskim kraju, gdzie lasy sięgają aż po skaliste ściany dolin; wstąpmy na lśniące śniegowe pola i znowu zejdźmy w dół na zielone łąki, gdzie rzeki i strumienie śpieszą w dal, jak gdyby bały się, że nie zdążą w porę do morza, aby zniknąć w jego objęciach. Słońce grzeje w głębokich dolinach, grzeje ono także olbrzymie masy śniegu, które z biegiem czasu przekształcają się w błyszczące bloki lodu i stają się spadającymi lawinami, spiętrzonymi lodowcami. Dwa takie lodowce leżą w głębokich szczelinach górskich u stóp szczytów Schreckhornu i Wetterhornu, niedaleko od górskiej wioski Grindelwald; są one bardzo interesujące, toteż latem przyjeżdża do nich mnóstwo ludzi ze wszystkich stron świata; przebywają wysokie, pokryte śniegiem góry; przychodzą z głębokich dolin i muszą wspinąć się wiele godzin w górę, a w miarę jak się wznoszą, doliny zapadają coraz głębiej i wyglądają tak, jakby się na nie patrzyło z balonów. Częstość zwieszają się nad nimi chmury jak ciężkie firanki dymu, zakrywające szczyty gór podczas kiedy w dolinie, gdzie widać wiele rozsypanych brązowych domków, jeszcze świeci jeden promień słońca i pada na pasmo promiennej zieleni, prześwietlając ją na wskroś. Woda szumi huczy i pryska w dolinie, woda kipi, i dzwoni w górze i wygląda jak jaskrawa, srebrna wstęga spadająca ze skał.

Po obu stronach drogi leżą drewniane domki, a przy każdym domku widnieje małe półko kartofli; uprawianie go jest konieczne, gdyż w tych domkach

mieszka wiele osób, które trzeba wykarmić, dzieci tutaj mnóstwo, a mają apetyt, co się zowie; wybiegają ze wszystkich domów i otaczają podróżnych idących piechotą czy też jadących powozami; wszystkie te dzieci mają coś do sprzedania; malcy zachęcają do kupna małych, ślicznie wyrzynanych z drzewa domków, podobnych do tych, które stoją tu w górach.

Czy deszcz pada, czy słońce świeci, dzieci zawsze czyhają tutaj ze swymi towarami.

Przed dwudziestu kilku laty stawał tutaj nieraz, ale zawsze w pewnym oddaleniu od innych dzieci, mały chłopak, który też miał coś na sprzedaż; stał z miną tak poważną i tak mocno ścisnął oba rękami swoje drewniane pudełko, jak gdyby nigdy nie chciał go wypuścić; ale ta powaga i to, że dziecko było takie małe, sprawiało, że chłopca zauważano, wołano go i bardzo często sprzedaż udawała mu się znakomicie, choć sam nie wiedział dlaczego. Wyżej w górach mieszkał jego dziadek, który rzeźbił te śliczne, urocze domki; tam w izbie stała szafa napełniona tego rodzaju rzeźbami w drzewie; były tam dziadki do orzechów, noże, widelce i pudełka ze ślicznymi kwiatami lub skaczącymi kozicami; wszystko to mogło nacieszyć oczy dziecięce, ale mały Rudi, tak się bowiem nazywał chłopiec, najchętniej spoglądał na starą fuzję zawieszoną pod sufitem, która miała kiedyś stać się jego własnością, jak powiedział dziadek, ale powinien do tego czasu wyrosnąć i nabrać sił, aby móc ją udźwignąć. Mimo że był jeszcze małym chłopcem, kazano mu już pasać kozy. I jeżeli do zalet dobrego pastuszka należy wdrapywanie się na skały z wychowankami-kozami w zawody, to istotnie Rudi był dobrym pastuszkiem. Wspinał się nawet trochę wyżej od nich; włąził na drzewa, bo sprawiało mu przyjemność wybieranie gniazd ptakom. Był śmiały i zręczny, ale uśmiechał się jedynie wtedy, gdy stał nad grzmiącym wodospadem lub słuchał huku spadającej lawiny. Nigdy nie bawił się z innymi dziećmi; spotykał się z

nimi tylko wtedy, gdy dziadek posyłał go sprzedawać zabawki, co nie sprawiało mu przyjemności. Wolał włóczyć się samotnie po górach lub siedzieć u dziadka i słuchać jego opowiadań o dawnych czasach i o szczepie zasiedziałym w Meiringen, miasteczku, z którego pochodził. Ludność tego szczepu, jak mówiono, nie wywodziła się z prastarych, tutejszych mieszkańców, ale przywędrowała w późniejszych czasach. Przybyli z północy, ale osiedli tutaj, gdzie przezywano ich „Szwedami”. To była cała mądrość, którą Rudi posiadał, ale Rudi wiedział bez porównania więcej, co zawdzięczał obcowaniu z domowymi zwierzętami, to jest wielkim psem Ajolą, którego Rudi odziedziczył po swoim ojcu, i kocurem. Zwłaszcza temu ostatniemu Rudi wiele zawdzięczał: kot mianowicie nauczył go wspinaczki.

– Chodź ze mną na dach! – mówił kot, a Rudi go rozumiał, i to jak najdokładniej, bo kiedy się jest dzieckiem, nie umiejącym jeszcze mówić, rozumie się równie dobrze mowę kur i kaczek, kotów, psów jak mowę ojca i matki, tylko trzeba być małym. Nawet laska dziadka potrafi wówczas rzeć i jest prawdziwym koniem z głową, nogami i ogonem. Niektóre dzieci jeszcze bardzo długo rozumieją tę mowę; mówi się o nich, że są zatrzymane w rozwoju, że strasznie długo pozostają dziećmi. Ale czegoż to się nie mówi!

– Chodź ze mną na dach, mały Rudi! – były to pierwsze słowa kota, które chłopiec zrozumiał. – To, co ludzie opowiadają o spadaniu, jest tylko wymysłem. Nie spada ten, kto się nie boi. Chodź, postaw jedną łapkę, tak, a drugą, o, tak. Przednimi łapkami musisz macać przed sobą. Musisz mieć oczy w głowie i być zręcznym. Kiedy zobaczysz szczelinę, przeskocz ją i trzymaj się mocno tak jak ja!

Rudi usłuchał. I dlatego to tak często siedział u kota na dachu, siedział w towarzystwie kota na

szczytach drzew, nawet i na krawędziach skał, gdzie już kot nie chodzi.

– Wyżej, wyżej! – namawiały go krzaki i drzewa. – Czy widzisz, jak się wspinamy. Jak wysoko sięgamy i jak się potrafimy ucześcić na najwęższej nawet krawędzi.

I Rudi wspinał się na góry, często jeszcze przed wschodem słońca, pił chciwie swój poranny napój, mocne, orzeźwiające powietrze. Napój, który potrafi przyrządzić tylko Pan Bóg, a ludzie zaledwie mogą odczytać receptę. Składa się na nią: świeża woń ziół górskich, mięty i macierzanki z doliny. Wszystko, co ciężkie, wsysają ciemne chmury, wiatr rozpędza je nad lasami, woń z tych lasów przesycza powietrze, które staje się lżejsze, czystsze, coraz czystsze. Taki był napój poranny Rudiego.

Błogosławione córy słońca całowały jego policzki, a Zawrót Głowy czyhał w pobliżu, ale nie śmiał się do niego przybliżyć. Jaskółki, które miały aż siedem gniazd na dachu domu dziadka, krążyły naokoło niego i jego kóz i śpiewały: „My i wy! My i wy!” Przynosiły one chłopcu pozdrowienia z domu od wszystkich zwierząt, nawet od dwóch kur, jedynych domowych ptaków, z którymi Rudi się nie zadawał.

Mimo iż był jeszcze mały, widział już kawał świata i jak na takiego brzdąca odbył nie byle jakie podróże. Urodził się w kantonie Wallis i przeniesiono go tu przez góry, niedawno zawędrował piechotą aż do Staubbach, które srebrną wstęgą spada ze śnieżnobiałej Jungfrau – Śnieżnej Dziewicy. Był także w Grindelwaldzie, przy dużym lodowcu, ale to smutna historia, gdyż tam umarła jego matka.

– Tam stracił Rudi swą dziecięcą wesołość – mówił dziadek.

Bo gdy Rudi nie miał jeszcze roku, śmiał się więcej, niż płakał, jak to pisała matka, ale od czasu gdy spędził wiele godzin w szczelnie lodowca, zmienił się zupełnie. Dziadek nie lubił o tym mówić, lecz wszyscy w okolicy znali tę historię.

Ojciec Rudiego był woźnicą dyliżansu. Wielki pies, mieszkający w izbie, towarzyszył zawsze ojcu w drodze przez Simplon w dół Jeziora Genewskiego. W dolinie Rodanu, w kantonie Wallis, mieszkali krewni Rudiego ze strony ojca: stryj był dzielnym łowcą kozic i doskonałym przewodnikiem. Gdy Rudi nie miał jeszcze roku, ojciec jego umarł i matka chciała wrócić do swojej rodziny mieszkającej u stóp Berneńskiego masywu; o parę godzin drogi od Grindelwaldu mieszkał jej ojciec; był on snycerzem i pracą swą zarabiał wcale nieźle. Wyruszyła w czerwcu, z dzieckiem na ręku, w towarzystwie dwu strzelców, do domu przez Gemmi w stronę Grindelwaldu. Miała już większą część drogi za sobą, dotarła przez przełęcz do śniegów, widziała już ojczyzną dolinę i dobrze znane, rozproszone domki; pozostawał jej tylko do przebrnięcia jeden lodowiec. Śnieg właśnie świeżo napadał i przykrył jedną ze szczelin w lodzie, niezbyt głęboką, nie sięgającą aż do dna, gdzie szumiała woda, ale w każdym razie głębiej niż wzrost człowieka. Młoda kobieta z dzieckiem na ręku pośliznęła się, osunęła się w tę szczelinę, i już było po niej, nie krzyczała, nie westchnęła nawet, słysząc tylko z głębi płacz dziecka. Upłynęła przeszło godzina, zanim towarzysze kobiety zdołali sprowadzić z najbliższej wioski drągi, sznury i przywołać pomoc. Po długich wysiłkach wyciągnięto ze szczeliny, jak sądzono, dwa trupy. Zastosowano wszystkie możliwe środki, matki nie zdołano uratować, dziecko jednak oprzytomniało. Dlatego to do domu staruszka zamiast córki z dzieckiem zawitała tylko wnuk, ten malec, który więcej się śmiał, niż płakał, ale który teraz jak gdyby się od tego odzwyczaił; zmiana nastąpiła pewnie w owej lodowatej szczelinie, w tym dziwnym świecie, gdzie, jak wierzy lud szwajcarski, dusze potępieńców czekają na sąd ostateczny.

Jak gdyby szumiąca woda, zamarznęta w biegu i ściśnięta w zielonawe bloki, spoczywa olbrzymi lodowiec, kawały lodu ułożone jedno na drugich.

Głęboko pod nim biegnie rwący prąd stopionego śniegu i lodu. Ogromne szczeliny i bezdenne przepaści kryją się pod nim; jest to potężny pałac lodowy, a mieszka w nim Dziewica Lodów, królowa lodowców. Ta śmiercionośna, miazdząca istota jest na poły dzieckiem powietrza, na poły zaś groźną władczynią rzek, dlatego to potrafi wspinać się z szybkością kozicy na najwyższą krawędź lodowca, gdzie najśmielsi nawet wspinacze muszą mozolnie wykuwać stopnie w lodzie; na cieniutkich gałązkach sosnowych żeglują po wodach strumieni, skacze z kamienia na kamień, owiana swymi długimi, śnieżnymi włosami i niebieskozieloną sukienką, która połyskuje jak woda w szwajcarskich jeziorach.

– Zmiażdżyć, schwytać! – wołała. – Moja jest siła, moja moc! Ukradzono mi pięknego chłopca. Ucałowałam go, ale nie zacałowałam na śmierć. Żyje, przebywa wśród ludzi, pasie kozy na zboczu, skacze po skałach coraz to wyżej i wyżej, coraz dalej od innych, ale nie ode mnie. On jest mój! Ja go schwycę!

I rozkazała Zawrotowi, by pomógł jej w tym dziele. W lecie jest Dziewicy Lodów zbyt gorąco na łąkach wśród zapachu mięty, miał ją więc zastąpić Zawrót. Kręcił się i wił, dwoił i troił; Zawrót Głowy ma mnóstwo siostr, całe stado siostr.

Dziewica Lodów wybrała najsilniejszy Zawrót Głowy z tych wszystkich, które wirują po całym świecie. Przesiadują one na poręczach wysokich schodów, na galeriach wież, biegają jak wiewiórki po krawędziach skał, skaczą z góry na dół, prują powietrze jak pływak wodę i wabia swe ofiary, i wciągają je do przepaści. Zawrót Głowy i Dziewica Lodów chwytają wszystkich, którzy się do nich zbliżą, jak złośliwy polip. Zawrót miał właśnie schwytać Rudiego.

– Złapać! – powiedział Zawrót – to niełatwe zadanie, ten szelma kot nauczył go swych sztuczek. To dziecko posiada siłę, której nie mogę zwyciężyć, nie mogę zbliżyć się do chłopca, gdy huśta się na

gałęzi nad przepaścią, i polechtać go w pięty albo pchnąć, by wyleciał w powietrze.

Nie, nie mogę tego zrobić.

– Ale razem możemy to uczynić! – powiedziała Dziewica Lodów. – Ty i ja, ja, ja!

– Nie, nie! – zabrzmiało w powietrzu jak gdyby górskie echo dzwonów kościelnych, ale to był śpiew, to była mowa, to był chór stopiony z różnych głosów innych duchów przyrody, łagodnych, godnych miłości i dobrych, to śpiewały córki słońca; co wieczór igrają one w kształcie wieńca na szczycie gór, rozpościerając swe skrzydła w blasku różowych promieni, które stają się coraz czerwiejsze, im słońce schodzi niżej. Ludzie mówią, że góry „się żarzą”.

Po zachodzie słońca córki słońca uciekają na wierzchołki gór i tam śpią w białym śniegu aż do świtu, wówczas zjawiają się na nowo. Kochają kwiaty, motyle i ludzi, a spośród ludzi wybierają sobie szczególnie małego Rudiego.

– Nie złapiecie go! Nie złapiecie go! – powtarzały.

– Chwytałam już większych i silniejszych! – odpowiadała Dziewica Lodów.

Wówczas córki słońca zaśpiewały pieśń o wędrowcu, któremu wichur porwał płaszcz i rzucił do burzliwej rzeki: „Wichur porwał tylko odzież, ale człowieka nie zwyciężył; wy, dzieci siły, możecie go porwać, ale zatrzymać go nie zdołacie. Jest silniejszy i ma mocniejszego ducha nawet od nas, wspina się wyżej niż nasz rodzic – słońce. Zna zaklęcia, które czują woda i wiatr, tak że muszą mu grać i służyć. Was dławi ciężka, przytłaczająca waga, a on sięga wyżej!”

Tak pięknie brzmi chór podobny do dzwonów.

A co rano promyki słoneczne zaglądały przez jedyne okienko w domu dziadka do cichego chłopczyny, córki słońca całowały jego policzki, chcąc, by roztajały, ogrzały się, znikły lodowate pocałunki, które niegdyś wycisnęła na jego twarzyczce

królewska Dziewica Lodów, wtedy gdy spoczywał w ramionach martwej matki w głębokiej szczelinie lodowej i jakby cudem został przywrócony do życia.

2. Podróż do nowego domu

Rudi skończył osiem lat; jego stryj z doliny Rodanu, po drugiej stronie gór, postanowił go wziąć do siebie; będzie mógł się tam więcej nauczyć i wykształcić. Dziadek również to rozumiał i pozwolił wnuczce odjechać.

Rudi miał więc wyruszyć w drogę; zanim pożegnał się z dziadkiem, musiał powiedzieć „do widzenia” przyjaciółom, a przede wszystkim staremu psu Ajoli.

– Ojciec twój był pocztowym woźnicą, a ja byłem psem pocztowym! – powiedział Ajola. – Jeździliśmy w górę i w dół. Znam dobrze psy i ludzi po tamtej stronie gór. Nigdy nie miałem zwyczaju wiele mówić, ale teraz, kiedy się mamy rozstać, mogę z tobą pogadać trochę; opowiem ci historię, którą znam od dawna i o której ciągle myślałem; nigdy nie mogłem jej zrozumieć i ty jej nie zrozumiesz, ale to wszystko jedno. To tylko z niej wywnioskowałem: że los nie bywa sprawiedliwy ani dla ludzi, ani dla psów. Nie każdemu psu dane było siedzieć na kolanach i popijać mleczko, mnie się to nigdy nie przytrafiło, ale widziałem w dylizansie pieska podróżującego ze swą panią; wzięli dla niego bilet jak dla człowieka, pani jego, jakaś arystokratka czy udająca arystokratkę, zabrała ze sobą butelkę mleka, dawała mu pić z niej, dostawała ciasteczka, ale nie raczył ich zjadać, obwąchiwał je tylko, a pani zjadała. Ja zaś biegłem w kurzu obok pojazdu, byłem taki głodny, jak tylko pies może być; przeżuwałem swoje myśli, nie było to w porządku, ale ileż to rzeczy jest nie w porządku na świecie.

Chociaż nie wiem jak chciałbyś siedzieć na kolanach i jechać w powozie, nie wywojujesz sobie tego i nic nie pomożesz ani szczekaniem, ani wyciem!

Tak mówi Ajola, a Rudi uściskał go i ucałował prosto w wilgotny nos. Potem wziął na ręce kota, ale ten zaczął się wyrywać.

– Zrobiłeś się dla mnie zbyt silny! – powiedział. – A nie chcę używać na ciebie pazurów. Możesz, ile chcesz, chodzić po górach, nauczyłem cię tego. A pamiętaj idąc, że nie spadniesz, jeśli się nie będziesz bał.

To mówiąc kot uciekł. Nie chciał, by Rudi widział, że smutek wзираł mu z oczu.

Po izbie biegały kury. Jedna z nich nie miała ogona, bo jakiś turysta, który się chciał zabawić w myśliwego, wziął ją za drapieżnego ptaka i ustrzelił jej ogon.

– Rudi pójdzie za góry! – powiedziała kura.

– Ciągłe się śpieszy! – odparła druga. – A ja nie lubię się żegnać! – I obie podreptały dalej.

Chłopiec powiedział „do widzenia” także i kozom. Zabeczały: „Zabierz mnie, mnie, mee!”, i to było bardzo żałosne.

Właśnie dwóch dzielnych przewodników z okolicy wybierało się na tamtą stronę, mieli przejść przez przełęcz Gemmi. Zabrali chłopca ze sobą. Szli na piechotę. Była to uciążliwa wędrówka dla takiego malca, ale był silny i śmiały i nie dał się zmęczyć.

Jaskółki odprowadziły go kawałek drogi. – My i wy! My i wy! – śpiewały. Droga wiodła obok rwącej rzeki Lütschine, która wypływa licznymi małymi potokami z lodowca z Grindelwald; przerzucone pnie i kamienie zastępują tu mosty. Minęli zarośla olszyny i zaczęli się wspinać w górę w tym miejscu, gdzie lodowiec spływa ze skalnej ściany, potem dostali się na powierzchnię lodowca i posuwali się po płytach lodowych lub obchodzili większe góry lodu. Rudi musiał chwilami pełzać na czworakach, oczy

płoneły mu z zachwytu, a jego podkute żelazem buty tak mocno stukały, jak gdyby Rudi za każdym krokiem chciał zostawić tu swój ślad. Czarny nalot ziemi, naniesiony strumieniem, okrywał lodowiec, ale błękitnozielony, lśniący jak szkło lód widniał jednak spod nalotu; co pewien czas trzeba było okrążyć małe jeziora utworzone przez groble w lodzie i w wędrówce tej natrafiono na olbrzymi kamień chwiejący się na skraju dużej szczeliny lodowej. Kamień poruszony ze swego miejsca potoczył się w dół, zniknął w przepaści, a przeciągłe echo jak grzmot wydobywało się z pustych głębin, ze szczelin Gletscheru.

Szli w górę, wciąż w górę. Lodowiec także wspinał się pod górę niczym rzeka piętrzących się, zamarzniętych fal, uwieczonych pomiędzy ostrymi skałami. Przez chwilę przeleciała przez głowę chłopca myśl, że w jednej z takich zimnych, głębokich przepaści spoczywał w ramionach matki; ale szybko otrząsnął się z tych myśli, nie znaczyły one dla niego więcej niż wszystkie inne historie, których się nasłuchał. Od czasu do czasu mężczyźni sądząc, że droga jest zbyt trudna dla malca, podawali mu rękę, ale on był niezmordowany i po gładkim lodzie szedł tak pewnie i lekko jak kozica. Teraz dotarli już do terenu skalnego i szli to pośród nagich, nie porośniętych mchem skał, to znów wśród kosodrzewiny albo zielonych łąk. Krajobraz zmieniał się co chwila. Wokoło wznosiły się góry pokryte śniegiem, których nazwy znał tak dobrze każdy chłopiec miejscowy: Jungfrau, Mnich, Eiger. Rudi nigdy przedtem nie był na takiej wysokości, nigdy nie stąpał po śnieżnych polach: teraz zaś leżały przed nim ze swymi nieruchomymi, śnieżnymi falami, z których wiatr co pewien czas zdmuchiwał płatki śniegu jak pianę fal morskich. Lodowce stoją tu jak gdyby obok siebie, a każdy z nich jest oddzielnym pałacem Dziewicy Lodów, której cała moc i wola skierowana jest ku temu, by chwytać i grzebać. Słońce grzało mocno, śnieg oślepiał i zdawał się

usiiany błękitnymi błyskami diamentów. Niezliczone ilości martwych owadów, przeważnie motyli i pszczoł, leżały na śniegu. Zapędziły się zbyt wysoko lub przygnał je tu wiatr i zamarzły na mrozie. Nad Wetterhornem wisiała ciemna chmura, zniżala się ona groźnie, jak gdyby ukrywając, że chowa w swoim wnętrzu halny wiatr, niebezpieczny, gdy się rozpęta. W pamięci Rudiego utkwilo na zawsze wrażenie tej wędrówki, wznoszenie się w górę nocą i znowu schodzenie w dół, głębokie przepaście skalne, w których woda w ciągu nieskończonej ilości lat przegryzała kamienie.

Podróźni przenocowali w opuszczonej, kamiennej kolebie po drugiej stronie śnieżnego pola. Znaleźli tu węgiel drzewny i gałazki sosnowe; natychmiast rozpalono ogień i w miarę możliwości przygotowano nocleg; mężczyźni rozsiedli się przy ogniu, zapalili fajki i pili gorący korzenny napój, który sami przyrządzili. Rudi też otrzymał swoją porcję i zaczął rozmawiać o tajemniczych istotach alpejskich, o dziwacznych, olbrzymich węzach w jeziorach górskich i o armii upiorów, które przenoszą uśpionych wędrowników do pięknego, pływającego miasta Wenecji; o dzikim pasterzu, który gna swe czarne owce przez ścieżki wśród łąk; choć ich nikt nigdy nie widział, ale wyraźnie słyszano dźwięk ich dzwoneczków i straszliwe beczenia stada. Rudi słuchał z uwagą, ale nie bał się, obce mu było uczucie strachu i zdawało mu się, że słyszy nawet upiorne beczenie; ba! stawało się coraz wyraźniejsze, mężczyźni także je posłyszeli, przestali gadać, nasłuchiwali i powiedzieli chłopcu, że nie wolno mu zasypiać. To był halniak, ten gwałtowny wicher górski, który zwała się z gór w doliny, łamie drzewa jak wąż trzcinki i przenosi drewniane domy z jednego brzegu rzeki na drugi, jak my figurki na szachownicy.

Po godzinie wszystko ucichło i Rudiemu pozwolono zasnąć. Zmęczony wędrówką, zasnął jak na komendę.

Wczesnym rankiem ruszyli w dalszą drogę. Słońce oświecało tego dnia Rudiemu nowe, nieznane góry, lodowce i śnieżne pola. Weszli do kantonu Wallis i znaleźli się z drugiej strony tych gór, które widać z Grindelwaldu, ale byli jeszcze daleko od nowego domu. Przed oczyma chłopca roztoczyły się inne doliny, inne łąki, lasy i górskie ścieżki, zobaczył inne domy i innych ludzi. Ale jakich ludzi! Byli to kretyni o tłustych nieprzyjemnych, bladożółtych twarzach, szyje ich opadały w grubych, obrzydliwych fałdach jak worki. Bezsilnie włączyli się po drogach i spoglądali na obcych głupimi oczyma; najstraszniej wyglądały kobiety. Więc to mieli być ludzie jego nowej ojczyzny?

3. Stryj

W domu stryja, do którego Rudi przybył, ludzie wyglądali, na szczęście, zwyczajnie. Był tu tylko jeden kretyn, biedny, słaby na umyśle chłopak, jeden z tych, którzy wędrują po kantonie Wallis z domu do domu i w każdej rodzinie zostają po parę miesięcy. Biedny Saperli był właśnie w domu stryja, gdy Rudi tam przybył.

Stryj był jeszcze dzielnym strzelcem, a prócz tego zajmował się bednarstwem, żona jego była żywą, małą kobietką o ptasiej twarzyczce, orlich oczach i długiej owłosionej szyi.

Dla Rudiego wszystko tu było nowością: stroje, obyczaje, a nawet mowa, ale do tej potrafił się jako dziecko szybko przyzwyczaić. W porównaniu z tym, do czego przywykł u dziadka, panował tu ogromny dobrobyt. Izba, w której mieszkali, była obszerniejsza, ściany ozdobione były skórami kozic i wyczyszczonymi strzelbami, a przed obrazem Matki Boskiej nad drzwiami płonęła lampka i jaśniały świeże różyczki alpejskie.

Stryj, jak się rzekło, był jednym z najlepszych okolicznych myśliwych polujących na kozice, i jednym z najdoświadczeńszych przewodników. W tym domu miał Rudi znaleźć najczulsze pieszczoty; dotychczas pieszczono tu tylko starego, ślepego, głuchego wyżła, który co prawda nie mógł już pełnić służby, ale pełnił ją niegdyś; pamiętano o jego dawnej dzielności i dlatego zaliczano go do rodziny i obdarzano niejednym smacznym kąskiem. Rudi pogłaskał psa. Ten zrazu nie dał się pieścić, bo uważał chłopca za obcego, ale już wkrótce Rudi wkradł się do serc wszystkich mieszkańców tego domu.

– U nas w kantonie Wallis nie jest wcale tak źle. Mamy tu kozice, które nie wymierają tak szybko jak kozły; teraz jest lepiej niż w dawnych czasach, mimo że tak chwalamy przeszłość; nasze czasy są lepsze. Zrobiła się jak gdyby dziura w worku; przez naszą dolinę przelatuje świeży prąd powietrza. Gdy opada to, co jest stare i zużyte, wychodzi zawsze na jaw coś lepszego.

Tak mówi stryj, a gdy się rozgadał, opowiadał o czasach swego dzieciństwa, o tym, jak to było wówczas, gdy kanton Wallis był jeszcze zamkniętym workiem, jak się wyrażał, pełnym kretynów i chorych.

– Ale przyszli do nas francuscy żołnierze; byli jak prawdziwi lekarze: zabijali chorobę razem z chorymi. Francuzi umieją się tłuc na różne sposoby, a ich dziewczęta również.

I przy tym kiwał stryj głową w stronę żony, która była Francuzką, a ona śmiała się do niego.

– Francuzi umieją tłuc kamienie, tak że te aż ustępują, wykuli oni w kamieniu drogę, zrobili drogę przez Simplon, przebitą wśród skał, taką drogę, że teraz mogą powiedzieć trzyletniemu dziecku: „Idź do Włoch. Trzymaj się tylko szosy.” I dziecko trafi do Włoch, o ile nie zbczy z szosy.

A potem stryj zaśpiewał francuską pieśń i wznosił okrzyki na cześć Napoleona Bonaparte.

Wtedy to usłyszał Rudi po raz pierwszy o Francji, o wielkim mieście Lyonie nad Rodanem. Stryj bywał w tym mieście.

Rudi miał w ciągu paru lat wykształcić się na zręcznego strzelca. Stryj mówił, że ma do tego zdolności. Uczył go więc jak ma trzymać strzelbę, jak celować, jak strzelać; w porze polowania zabrał go ze sobą w góry i dawał mu do picia ciepłą krew kozicy: to chroni strzelca przed zawrotem głowy; uczył go, jak poznawać, kiedy i z jakich zboczy skał będą się toczyły lawiny, w południe czy wieczorem, w zależności od działania promieni słonecznych, kazał mu obserwować skoki kozic i od nich uczyć się zręczności i równowagi, one miały mu pokazywać, jak ma się trzymać zawsze na nogach, a wówczas gdy nie ma już miejsca na stopy, jak się czepiać skały łokciami, na mięśniach łydek i ud, a nawet na mięśniach karku.

Kozice są mądre, stawiają warty, które ostrzegają przed człowiekiem, ale strzelec musi być mądrzejszy: zachodzi je pod wiatr; może je oszukać, gdy postawi na kiju swoją kurtkę i kapelusz, kozica to bierze za człowieka. Ten żart zrobił stryj któregoś dnia, gdy poszedł z Rudim na polowanie.

Skalna ścieżka była wąska, nie była to właściwie ścieżka, tylko gzyms, wiodący nad zawrotną przepaścią. Śnieg, który tu leżał, roztajał do połowy i kamienie obsuwały się spod nóg, dlatego też stryj położył się na brzuchu i tak czołgał się naprzód. Każdy kamień, który się osuwał spadał w przepaść, uderzał się, skakał i toczył się znowu i odbijał się ze skały na skałę, zanim znalazł spokój w czarnej głębi. Rudi stał mniej więcej o sto kroków za stryjem na wysuniętym cyplu skalnym. Nagle ujrzał olbrzymiego orła krążącego nad stryjem; jedno potężne uderzenie skrzydeł wystarczyłoby, by strącić pełzającego na skale robaka w przepaść i zamienić go

w padlinę. Stryj miał oczy utkwione w kozicę, która wraz ze swoim małym ukazała się po tamtej stronie skały. Rudi utkwiał wzrok w ptaku, zrozumiał, do czego zmierza, i już schwycił fuzję, aby strzelić, gdy w tej chwili kozica skoczyła, stryj wystrzelił i położył ją trupem, ale jej młode uciekło w takich podskokach, jak gdyby całe życie miało do czynienia ze strachem i ucieczką. Olbrzymi ptak, przerażony wystrzałem, wzbił się w powietrze. Stryj nie przeczuwał niebezpieczeństwa, dowiedział się o nim dopiero od Rudiego.

Gdy rozweseleni wracali do domu i stryj gwizdał jakąś piosenkę ze swych chłopięcych czasów, usłyszeli nagle niedaleko jakiś dziwny odgłos; obejrżeli się, potem spojrzeli w górę i zobaczyli zwieszającą się ze stromej ściany skalnej płachtę śnieżną, podobną do kawału płótna kołysanego przez wiatr. Powierzchnia jej zaczęła się łamać jak płyty marmuru, zamieniła się w spienione, wartkie wody, ryczące jak odległe grzmoty. Była to lawina śnieżna, nie spadała wprost na Rudiego i jego stryja, ale w każdym razie blisko, zbyt blisko od nich.

– Trzymaj się mocno, Rudi – zawołał stryj. –
Trzymaj się z całych sił!

Rudi objął ramieniem pień drzewa i trzymał się mocno, a stryj wdrapał się na drzewo i trzymał się gałęzi, podczas gdy lawina przeciągała o kilkanaście stóp od nich, ale napór powietrza, będący jakby skrzydłami lawiny, siał wokół spustoszenie, łamał drzewa jak suche patyki i odrzucał je daleko. Rudi leżał przyciśnięty do ziemi; pień drzewa którego się trzymał, wyrwało z ziemi, odłamana korona odrzuciło daleko; wśród połamanych gałęzi leżał stryj ze zmiażdżoną głową, dłoń jego była jeszcze ciepła, ale twarz już nie do poznania. Rudi stał blady i drżący. Była to pierwsza chwila przerażenia w jego życiu, pierwszy moment, kiedy odczuł zagadkę życia i śmierci.

Późnym wieczorem powrócił ze straszną wieścią do domu, który stał się teraz domem żałoby. Żona stała bez słowa, bez łez; i dopiero gdy przyniesiono nieboszczyka, wybuchła rozpaczliwym płaczem. Biedny kretyń ukrył się w swoim łóżku, cały dzień nie wychodził, dopiero pod wieczór przyszedł do Rudiego.

– Napisz mi list! – poprosił. – Saperli nie umie pisać. Saperli zanieś na pocztę!

– List od ciebie? – spytał Rudi. – Do kogo?

– Do pana Jezusa!

– Do kogo?

A wtedy głupi, tak bowiem nazywali kretyń, spojrzawszy żałośnie, złożył dłonie i powiedział uroczyście i pobożnie:

– Jezusa Chrystusa. Saperli mu napisze, że on chce leżeć umarły, a nie pan tego domu!

Rudi uściskał mu rękę.

– List nie dojdzie. Ten list nam go nie wróci! – powiedział.

Ale nie potrafił biedakowi wytłumaczyć tej niemożliwości.

– Teraz ty jesteś podporą tego domu! – powiedziała do Rudiego stryjka.

I tak się stało.

4. Babeta

Kto jest najlepszym strzelcem w całym kantonie Walis? – O tym wiedziały dobrze kozice.

– Strzeżcie się Rudiego! – mogłyby powiedzieć.

Kto jest najpiękniejszym strzelcem?

– Rudi! – odpowiadały dziewczęta, ale nie mówiły:

– Strzeżcie się go! Nie mówiły tego nawet najpoważniejsze matki, gdyż uśmiechał się do nich tak samo mile jak do młodych córek. Był taki świeży i

wesoły, policzki miał smagłe, zęby białe, a oczy błyszczące i czarne jak węgiel. Był pięknym chłopcem i miał dopiero dwadzieścia lat. Nie szkodziła mu lodowata woda, gdy w niej pływał, bo umiał się tak w wodzie zwijać jak ryba. Wspinał się na góry jak nikt inny, potrafił przylgnąć do skały jak ślimak, miał wspaniale rozwinięte mięśnie i ścięgna; przydawało mu się to w skokach, których nauczył się najpierw od kota, a potem od kozic. Rudi był najlepszym przewodnikiem, godnym pełnego zaufania, więc mógł sobie w ten sposób zarobić mnóstwo pieniędzy. Do zawodu bednarskiego, którego również nauczył go stryj, nie miał zbyt dużego pociągu. Za to z zamiłowaniem strzelał do kozic, i to także przynosiło mu dochód. Słowem, Rudi był, jak to powiadają, doskonałą partią, o ile tylko nie zechciałby sięgać za wysoko. W tańcu był takim tancerzem, o jakim śniły dziewczęta, a niejedna marzyła o nim i na jawie.

– Pocałował mnie w tańcu! – powiedziała Aneta, córka nauczyciela, do swej najlepszej przyjaciółki, ale nie powinna była tego opowiadać nawet najlepszej przyjaciółce. Taka wiadomość nie daje się zachować w tajemnicy, jest jak piasek w dziurawym worku: natychmiast przelatuje; wkrótce już wszyscy wiedzieli o tym, że taki dzielny chłopak jak Rudi całuje w tańcu, a przecież pocałował wcale nie tę, którą najbardziej pragnął pocałować.

– Uważajcie! – powiedział pewien stary strzelec. – Zaczął od Anety, a jak tak pójdzie dalej, to po A nastąpi cały alfabet!

Na razie całus w tańcu to był jedyny temat plotek o Rudim, a tymczasem ucałował on nie tę, która była kwieciem jego serca.

Na dole, pod Bex, pomiędzy dużymi drzewami orzechowymi, nad górskim potokiem, mieszkał bogaty młynarz. Dom mieszkalny był trzypiętrowy, ozdobiony wieżyczkami, z dachem pokrytym blachą, która błyszczała w blasku słońca i księżyca. Na najwyższej z wieżyczek znajdowała się chorągiewka

wskazująca pogodę, w kształcie strzały przeszywającej jabłko, na pamiątkę Wilhelma Tella. Młyn wyglądał zamożnie i malowniczo, nadawał się do opisanego i namalowania, ale młynarzowej córki nie sposób było ani opisać, ani namalować; tak przynajmniej sądził Rudi i dlatego właśnie jej obraz wyrzył mu się w sercu; oczy jej promieniały jak jasny płomień, toteż i Rudiego uczucie ogarnęło tak nagle jak pożar.

Najdziwniejsze było to, że młynarzówna, piękna Babetta, nic o tym nie wiedziała. Ona i Rudi nie zamienili ze sobą jeszcze ani jednego słowa.

Młynarz był bogaty i z tego powodu jego córka była nieprzystępna, prawie nieosiągalna. Ale Rudi wierzył, że nie ma takiej wysokości, na którą nie potrafiłby się wdrapać. Trzeba się tylko wspinać, a nie spada ten, kto jest pewien, że cel osiągnie. Taką naukę wyniósł jeszcze z domu.

Zdarzyło się, że Rudi miał interes w Bex. Była to daleka droga, a koleje wówczas nie istniały. Od lodowca rodkańskiego, hen u stóp góry Simplon, pomiędzy rozmaitej wielkości szczytami, wije się w dolinie Wallis potężna rzeka Rodan, która wiosną wzbiera i zalewa niszczycielską falą pola i drogi. Pomędzy miejscowościami Sion i St. Maurice dolina wygina się w łuk, załamuje jak łokieć i za St. Maurice zwęża tak, że mieści się tam tylko łożysko rzeki i wąska szosa u jej brzegów. Stara wieża, wzniesiona jako baszta strzegąca kantonu Wallis, który się tu właśnie kończy, spogląda z urwiska górskiego na kamienny most i gmach celny naprzeciwko; tu rozpoczyna się kanton Vaud, a najbliższa miejscowość nadgraniczna to Bex. Urodzajne te strony, im dalej się idzie, tym piękniej wszystko kwitnie i dojrzewa, jest się jak gdyby w ogrodzie zasadzonym kasztanowymi i orzechowymi drzewami; gdzieniegdzie rosną zwarte cyprysy i granaty; jest tu ciepło jak na południu, ma się wrażenie, że się przyjechało do Włoch.

Rudi dotarł do Bex, załatwił swą sprawę, ale nie spotkał nigdzie nie tylko Babety, lecz nawet żadnego z młynarczyków. Nie stało się tak, jak sobie pomyślał.

Nadszedł wieczór. Powietrze przepełnione było wonią macierzanki i kwitnących lip; nad zielonymi, lesistymi zboczami gór spoczywał jak gdyby błękitny welon; panowała cisza, ale nie była to cisza snu ani spokój śmierci, było tak, jak gdyby natura powstrzymała oddech i stanęła nieruchomo, pozując do fotografii na błękitnym tle nieba. Tu i ówdzie stały wśród drzew słupy podtrzymujące drut telegraficzny, ciągnęły się przez tę cichą dolinę. Pod jednym z takich słupów czerniło się coś, co można było wziąć za pień drzewa. Był to jednak Rudi; stał cicho jak wszystko, co go otaczało, ale nie spał, a tym bardziej nie był martwy. Jakże często bywa, że przez drut telegraficzny przebiegają ważne zdarzenia światowe czy wypadki niezmiernej wagi życiowej dla poszczególnych osób, a drut ani drżeniem, ani dźwiękiem nie zdradza tego; tak samo przez istotę Rudiego przelatywały potężne myśli o szczęściu jego całego życia, od tej chwili „nie ustające myśli”. Oczy utkwione miał w jednym punkcie błyszczącym pomiędzy liśćmi, w światełku płonącym w oknie pokoju młynarza, w domu, gdzie przebywała Babeta. Kto spojrzełby w tej chwili na nieruchomo stojącego Rudiego, mógłby pomyśleć, że przyczał się, aby upolować kozicę, ale on sam raczej przypominał kozicę, która potrafi godzinami stać nieruchomo, jak wyrzeźbiona w głazie, dopóki staczający się kamień nie spłoszy jej do skoku i ucieczki. To samo stało się z Rudim, spłoszyła go myśl.

– Nie należy rezygnować z odwiedzin w młynie – powiedział do siebie. – Dobry wieczór młynarzowi, piękny ukłon dla Babety? Nie ginie ten, kto wierzy. Babeta musi mnie przecież wreszcie zobaczyć, skoro mam zostać jej mężem.

Rudi roześmiał się; był pełen wiary w siebie. Poszedł do młyna, wiedział, czego chce; chciał

Babety. Wezbrane, żółtobiałe wody rzeki płynęły, a wierzby i lipy zwieszały swe gałęzie nad wodami. Rudi szedł wzdłuż brzegu i stało się jak w starej, dziecięcej piosence:

A w domu młynarza nikogo
nie było,
zamiast gospodarza kocię
się kręciło.

Kot domowy stał na schodach, wyginał grzbiet i mówił: „Miau”, ale Rudi nie zważał na to, co on powiada. Zapukał, nikt nie posłyszał, nikt nie otworzył.

– Miau – powiedział kot. Gdyby Rudi był jeszcze dzieckiem, pojąłby, że to znaczy: „Nikogo nie ma w domu.” Ale nie zrozumiał, więc wszedł do młyna i zapytał. Tam mu odpowiedziano.

Młynarz wyjechał daleko, do Interlaken – „inter lacus, między jeziorami”, jak to uczenie objaśnił nauczyciel, ojciec Anety; tak daleko pojechał młynarz i zabrał ze sobą Babetę na uroczyste święto strzelców, które miało się rozpocząć nazajutrz i potrwać cały tydzień i na które zjechali się Szwajcarzy ze wszystkich niemieckich kantonów.

Biedny Rudi! Nie wybrał najodpowiedniejszej pory na podróż do Bex. Teraz nie pozostawało mu już nic innego, tylko wracać do domu. Tak też uczynił; ruszył przez St. Maurice i Sion do swej własnej doliny, do swoich własnych gór. Ale nie rozpaczał. Gdy nazajutrz wzeszło słońce, był znowu w doskonałym humorze, a właściwie nigdy go nie tracił.

– Babeta jest w Interlaken, o parę dni drogi stąd – mówił do siebie. – To daleko, o ile się jedzie szosą, ale o wiele bliżej, gdy się idzie przez góry, a to jest właściwa droga dla strzelca. Znam tę drogę, przebywałem ją już raz. Tam przecież jest mój dawny dom, tam mieszkałem u dziadka, a w Interlaken jest święto strzelców. Będę tam pierwszy i przy Babecie będę pierwszy, niech się tylko z nią poznam!

Włożywszy do lekkiego plecaka swoje odświętne ubranie, ze strzelbą i torbą myśliwską u boku, ruszył Rudi w góry. Droga nie była taka krótka, jak przypuszczał, ale zjazd strzelecki dopiero się rozpoczął, a miał trwać przeszło tydzień. Młynarz z córką przez cały ten czas mieli mieszkać u krewnych w Interlaken. Rudi szedł przez przełęcz Gemmi i miał zamiar schodzić w dół obok Grindelwaldu.

W świeżym, lekkim i ożywczym powietrzu gór szedł Rudi wesół i krzepki naprzód. Dolina schodziła coraz niżej, widnokrąg rozszerzał się coraz bardziej, tu wznosił się jeden wierzchołek śnieżny, tam znowu drugi i po chwili Rudi miał przed oczyma cały alpejski łańcuch. Rudi znał każdy szczyt, szedł prosto na Schreckhorn, który wystrzela w górę swym biało przypudrowanym, kamiennym palcem.

Wreszcie przedostał się przez grzbiet gór. Trawiaste zbocza spływały w dół, ku ojczystej dolinie, powietrze było lekkie i lekko było na duszy; góra i dolina tonęły w kwiatach i zieleni, serce przepelniały młodzieńcze myśli; starość nigdy nie nadchodzi, nie trzeba umierać – żyć, rządzić, używać! Czuł się wolny jak ptak, lekki jak ptak! A jaskółki krążyły wkoło niego i jak w dzieciństwie wołały: „My i wy! My i wy!” Wszystko było lotne i radosne.

Nisko w dole roztaczała się łąka z jej aksamitną zielenią, usiana brunatnymi domkami, wody Lütschiny kipiały i szumiały. Rudi widział lodowiec z jego szklistozielonymi krawędziami w przybrukanym śniegu, widział głębokie szczeliny, lodowiec dolny i górny. Dźwięk dzwonów kościelnych dolatywał do niego na górę, jak gdyby chciano powitać go w ojczystym kraju. Serce biło mu mocniej i wezbrało tak, że nie było w nim miejsca dla Babety, tak bardzo przepelnione było wspomnieniami.

Znowu szedł drogą, przy której niegdyś stał jako malec, sprzedając z innymi dziećmi wycinane z drzewa domki. Tam wysoko za sosnami stał jeszcze

dom jego dziadka; mieszkali w nim obcy ludzie. Na drogę wybiegły dzieci, jedno z nich wyciągnęło ku niemu alpejską różę. Rudi Wziął kwiat, uważał to za dobrą wróżbę i pomyślał o Babecie. Wkrótce dotarł już do mostu, gdzie łączą się dwie odnogi Lütschiny, coraz więcej spotykał drzew liściastych; orzechy roztaczały miły cień. I oto ujrzał sztandary, białe krzyż na czerwonym polu: znaki takie, jakie bywają u Szwajcarów i Duńczyków. Przed nim leżało Interlaken.

Rudiemu miasto to wydało się tak piękne jak żadne inne. To szwajcarskie miasto w odświeżonej szacie wyglądało inaczej niż wszystkie inne miasta, zbiorowiska przygniatających, kamiennych domów, ciężkich, wykwintnych i obcych. Tutaj ulice robiły wrażenie, jak gdyby drewniane domki, te z góry, zbiegły w zieloną dolinę, spławione szybką jak strzała rzeką, i ustawiły się w rzędy, tworząc miasto. A najpiękniejsza ulica wyrosła od czasu, gdy Rudi bywał tu w dzieciństwie; domki wyglądały jak owe drewniane domeczki, które dziadek po wycięciu z drzewa chował do starej szafy. Urosły, jak wyrosły stare kasztany. Każdy dom był hotelem, jak go nazywano, którego okna i balkony zdobiły wycinanki z drzewa, a dach występował naprzód, domki były przez to piękniejsze. Przed każdym domem znajdował się ogródek kwiatowy, obrócony w stronę szerokiej, wylanej asfaltem szosy; domy stały wzdłuż ulicy tylko po jednej stronie, aby nie zasłaniać widoku pięknej, zielonej, soczystej łąki, na której pasły się krowy pobrzękując dzwoneczkami jak na pastwiskach wysoko w Alpach. Łąka otoczona była wysokimi górami, rozstępowały się one w jednym miejscu, otwierając widok na Jungfrau – „Dziewicę”, najpiękniejszą górę Szwajcarii.

Ileż tu zjechało się strojnych pań i panów z obcych stron, jaki tłum Szwajcarów ze wszystkich kantonów! Strzelcy mieli numery na kapeluszach. Rozbrzmiewała muzyka, rozlegały się dźwięki katarynek, instrumentów dętych, okrzyki i

nawoływania. Domy i mosty ozdobiono napisami i emblematami, powiewały z nich flagi i sztandary, co pewien czas rozlegał się huk wiwatowych wystrzałów, które brzmiały dla Rudiego jak najlepsza muzyka. W tym całym zgiełku zapomniał o Babecie, dla której przecież tu przywędrował.

Strzelcy ustawili się rzędem do zawodów, a Rudi wkrótce znalazł się wśród nich. Rudi wciąż przodował, był najzręczniejszy i najszcześniejszy: trafiał za każdym razem w czarny środek.

– Któż to jest ten młody, obcy strzelec? – pytano wokoło. – Mówi po francusku, jak mówią w kantonie Wallis. Porozumiewa się też doskonale po niemiecku! Podobno jako dziecko mieszkał tu koło Grindelwaldu! – objaśniał ktoś w tłumie.

Chłopak aż kipiał życiem, oczy mu promieniały, a ramię było pewne, dlatego trafiał za każdym razem. Odwaga sprzyja szczęściu, a Rudi był przecież zawsze odważny; wkrótce zyskał tu sobie całą gromadę przyjaciół. Podziwiano go, prawiono mu komplementy i Rudi zapomniał już zupełnie, po co tu przybył; Babeta zniknęła całkiem z jego myśli.

Nagle jakaś silna dłoń uderzyła go po ramieniu i gruby głos męski spytał go po francusku:

– Jesteście z kantonu Wallis?

Rudi obejrzał się i zobaczył czerwoną, roześmianą twarz i tęgą postać. Był to bogaty młynarz z Bex. Zasłaniał sobą szczupłą i delikatną Babetę, ale po chwili już jej ciemne oczy wyjrzały zza jego ramienia. Bogaty młynarz czuł się pochlebiony tym, że strzelec z jego kantonu zwycięża wszystkich zawodników. Rudi był naprawdę dzieckiem szczęścia; to, za czym się aż tu zapędził, samo przyszło do niego w chwili, gdy o tym zapomniał.

Rodacy spotkawszy się daleko od ojczyzny zawierają natychmiast znajomość i rozmawiają ze sobą. Rudi stał się przez swą zręczność pierwszym na uroczystościach strzeleckich, tak jak młynarz był

pierwszym ze względu na swoje bogactwo i wspaniały młyn tam w Bex. Uścisnęli więc sobie dłonie, czego nigdy przedtem nie robili, a Babeta ujęła Rudiego serdecznie za rękę, on zaś odwzajemnił jej uścisk. Spojrzał jej przy tym w oczy tak, że się zarumieniła.

Młynarz opowiadał o długiej podróży, którą przebyli, o wielkich miastach, jakie widzieli, była to prawdziwa podróż, jechali statkiem parowym, koleją i dylizanssem.

– Ja wybrałem krótszą drogę! – powiedział Rudi. – Przyszedłem tu przez góry; nie ma drogi, której nie można przebyć!

– I nie skręcić sobie przy tym karku! – dorzucił młynarz. – Wyglądacie mi na takiego, co w końcu z tą waszą pewnością siebie skręci sobie kark!

– Nie spada ten, kto nie zna lęku! – powiedział Rudi.

Krewni młynarza w Interlaken, u których bawił w gościnie, zaprosili Rudiego, by ich odwiedził, jest przecież z tego samego kantonu co Babeta i jej ojciec. Dogadzało to ogromnie Rudiemu, szczęście sprzyjało mu jak temu, który wie, że Bóg rozdaje nam orzechy, ale ich dla nas nie rozłupuje.

Rudi zasiadł więc, jak w rodzinnym kole, u krewnych młynarza, wzniesiono toast na cześć najlepszego strzelca, Babeta trąciła się z nim kieliszkiem, a Rudi pięknie podziękował za toast.

Wieczorem poszli wszyscy razem piękną drogą obok pięknych hoteli, pod starymi orzechami, a było tam tyle ludzi, taki tłok, że Rudi musiał wziąć Babetę pod ramię. Powiedział, że cieszy się ogromnie ze spotkania z rodakami z Vaud; Vaud i Wallis to dwa zaprzyjaźnione, sąsiedzkie kantony. Wyraził swą radość tak serdecznie, że Babeta uważała za stosowne uścisnąć mu dłoń. Przechadzali się jak starzy znajomi, a Rudi przekonał się, jak bardzo dziewczyna jest urocza i jak jej jest do twarzy, gdy zaśmiewa się z

przesadnie wystrojonych obcych dam i ze sposobu, w jaki przechadzają się; nie robiła tego bynajmniej po to, by te panie wykpiwać, nie! Uważała, że są to z pewnością bardzo miłe, dobre osoby; jej chrzestna matka była także wytworną Angielką. Przed osiemnastu laty, gdy Babetę chrzczono, była właśnie w Bex i podarowała jej kosztowną szpilkę, którą nosi na piersi. Dwa razy chrzestna matka pisała do niej, a teraz umówiły się, że spotkają się w Interlaken. Miała tu przybyć ze swymi córkami, starymi pannami, tak pod trzydziestkę – powiedziała Babetka. Sama miała przecież dopiero osiemnaście.

Miłe, maleńkie usteczka nie zamykały się ani na chwilę, a wszystko, co Babetka mówiła, wydawało się Rudiemu słowami ogromnej wagi. On sam znowuż opowiadał jej, co tam miał do opowiadania: ile razy bywał w Bex, jak dobrze znał młyn jej ojca, jak przyglądał się Babecie z daleka, choć ona go nie spostrzegła, i jak ostatnio poszedł do młyna, przepętniony wieloma myślami, o których nic nie może powiedzieć – a tu i ona, i jej ojciec wyjechali, wyjechali daleko, ale nie tak daleko, by nie można było przedostać się przez mur stojący na drodze.

Tak, to wszystko opowiedział, a także, jak bardzo ją lubi... i że dla niej właściwie, a nie dla święta strzelców odbył tę trudną drogę.

Babetka nagle ucichła; zbyt wielki ciężar zwałił się na nią od razu.

A tymczasem słońce zachodziło za skalną ścianą. „Dziewica” stała w blasku i wspaniałości, otoczona zielonym wieńcem zalesionych gór. Wszyscy stawali w milczeniu i patrzyli na piękny widok. Rudi i Babetka oglądali także to majestatyczne widowisko.

– Nigdzie nie może być piękniej niż tutaj! – powiedziała Babetka.

– Nigdzie! – potwierdził Rudi i spojrzał na Babetkę.
– Jutro muszę wracać! – powiedział po chwili.

– Odwiedź nas w Bex. Ojciec się ucieszy! – szepnęła Babeta.

5. W drodze powrotnej

Ach, ileż Rudi musiał dźwigać, gdy nazajutrz wyruszył z powrotem przez góry do domu. Trzy srebrne puchary, dwie doskonałe strzelby i srebrny imbryczek do kawy, co mogło się przydać na własnym gospodarstwie. Ale nie to było najważniejsze: coś o wiele ważniejszego i potężniejszego niósł ze sobą, a raczej niosło go to coś przez wysokie góry. Pogoda była marna, niebo szare i deszczowe, chmury zwisały nisko jak welon żałobny i otulały błyszczące szczyty gór. Z głębin lasów dolatywały ostatnie uderzenia siekiery, a ze zboczy spuszczano w dół pnie drzew, które mimo iż były grube, jak maszty okrętowe, wyglądały z góry jak cienkie kije. Lütschina szumiała swą monotonną pieśń, a wiatr pędził chmury po niebie. Nagle u boku Rudiego zjawiała się młoda dziewczyna; spostrzegł ją dopiero, gdy się z nim zrównała; szła tak samo przez góry. Oczy dziewczyny miały dziwną moc, musiało się w nie patrzeć, były przezrocyste jak szkło i niezwykle głębokie, bez dna.

– Czy masz ukochanego? – spytał ją Rudi, gdyż wszystkie myśli jego krążyły koło ukochanej.

– Nie mam nikogo – roześmiała się dziewczyna, ale w głosie jej nie dźwięczała prawda. – Niepotrzebnie obchodzimy naokoło – dodała po chwili. – Idźmy na lewo, tamtędy jest skrót.

– Tak, chyba po to, by wpaść w szczelinę lodową – odpowiedział Rudi. – Nie znasz drogi, chcesz się bawić w przewodnika.

– Znam doskonale drogę i myśli moje są przy mnie, gdy tymczasem twoje są tam, w dolinie – powiedziała. – Tu w górach trzeba myśleć o Dziewicy Lodów, ludzie mówią, że czyha ona na podróżnych.

– Nie boję się jej – rzekł Rudi. – Musiała mnie oddać, kiedy byłem dzieckiem, uda mi się jej wymknąć, gdy jestem dorosły.

Zmrok zapadał, deszcz był coraz gwałtowniejszy, zaczął też padać śnieg, błyszczał, oslepiał.

– Podaj mi rękę, pomogę ci przy wchodzeniu na górę – powiedziała dziewczyna i dotknęła jego dłoni lodowato zimnymi palcami.

– Ty mnie pomagasz? – zawołał Rudi. – Dotychczas nie potrzebowałem jeszcze pomocy kobiety, by wspinać się w górę.

I szybko uciekł od nieznajomej; zawieja owinęła go jak płaszczem, wicher gwizdał koło uszu, a za plecami słyszał śmiech i śpiew dziewczyny; brzmiało to, doprawdy, dziwnie. Były to z pewnością jakieś czary na usługach Dziewicy Lodów. Rudi słyszał o takich wypadkach wtedy, gdy jako chłopiec nocował w górskim szałasie.

Śnieg zaczął padać rzadziej, chmura była pod nim; obejrzał się, nie widział już nikogo, ale słyszał śmiech i nawoływanie, a nie brzmiało to jak głos ludzki.

Gdy wreszcie Rudi dotarł do szczytu góry, do miejsca, z którego ścieżka górską wiedzie już na dół w dolinę Rodanu, gdy spojrzął przed siebie, zobaczył w błękitnym czystym powietrzu, w stronie Chamonix, dwie jasne gwiazdy, mrugające na niebie. Wówczas pomyślał o sobie i Babecie, o swym szczęściu, i zrobiło mu się ciepło na duszy.